KTOŚ MNIE POKOCHA

12 wakacyjnych opowiadań

Leigh Bardugo · Francesca Lia Block
Libba Bray · Cassandra Clare · Brandy Colbert
Tim Federle · Lev Grossman · Nina LaCour · Stephanie Perkins
Veronica Roth · Jon Skovron · Jennifer E. Smith

Zebrała Stephanie Perkins

KTOŚ MNIE POKOCHA

12 wakacyjnych opowiadań

ZEBRAŁA

Stephanie Perkins

tłumaczenie: Matylda Biernacka,
Anna Gralak, Małgorzata Hesko-Kołodzińska,
Adriana Sokołowska-Ostapko

moondrive

Kraków 2016

Tytuł oryginału: *Summer Days and Summer Nights*

SUMMER DAYS AND SUMMER NIGHTS Copyright © 2016 by Stephanie Perkins

HEAD, SCALES, TONGUE, TAIL Copyright © 2016 by Leigh Bardugo.
THE END OF LOVE Copyright © 2016 by Nina LaCour.
LAST STAND AT THE CINEGORE Copyright © 2016 by Libba Bray.
SICK PLEASURE Copyright © 2016 by Francesca Lia Block.
IN NINETY MINUTES, TURN NORTH Copyright © 2016 by Stephanie Perkins.
SOUVENIRS Copyright © 2016 by Tim Federle.
INERTIA Copyright © 2016 by Veronica Roth.
LOVE IS THE LAST RESORT Copyright © 2016 by Jon Skovron.
GOOD LUCK AND FAREWELL Copyright © 2016 by Brandy Colbert.
BRAND NEW ATTRACTION Copyright © 2016 by Cassandra Clare, LLC.
A THOUSAND WAYS THIS COULD ALL GO WRONG
Copyright © 2016 by Jennifer E. Smith Inc.
THE MAP OF TINY PERFECT THINGS Copyright © 2016 by Lev Grossman

Dedykacja, podziękowania, *Koniec miłości*, *Za półtorej godziny skręć na północ*, *Byle nie miłość* – copyright © for the translation by Matylda Biernacka. *Pamiątki*, *Żegnaj i powodzenia*, *Tysiąc powodów, dla których mogło nam się nie udać*, *Mapa maleńkich wspaniałości* – copyright © for the translation by Anna Gralak. *Łeb i łuski, jęzor i ogon*, *Ostatni bój w Horrelaksie*, *Całkiem nowe atrakcje* – copyright © for the translation by Małgorzata Hesko-Kołodzińska. *Bezwładność*, *Sick Pleasure* – copyright © for the translation by Adriana Sokołowska-Ostapko

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Kopeć-Śledzikowska / Wydawnictwo JAK;
korekta: Aneta Tkaczyk / Wydawnictwo JAK, Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK;
łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Małgorzata Drabina, Eliza Luty

Fotografia na okładce: © iStockphoto.com / RyanKing999

ISBN 978-83-7515-283-8 (oprawa twarda),
ISBN 978-83-7515-242-5 (oprawa broszurowa ze skrzydełkami)

moondrive
www.moondrive.pl

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30–105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569
Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

VERONICA ROTH

BEZWŁADNOŚĆ

TŁUMACZENIE: ADRIANA SOKOŁOWSKA-OSTAPKO

– To musi być jakaś pomyłka – powiedziałam.

Zegar – stary elektroniczny budzik wyświetlający duże czerwone cyfry – wskazywał 2:07 nad ranem. Na dworze było tak ciemno, że nie widziałam drogi prowadzącej do naszego domu.

– Co masz na myśli? – z roztargnieniem spytała mama, wyciągając ubrania z mojej szafy. Dżinsy, podkoszulek, bluza, skarpetki, buty. Było lato i obudziłam się z mokrym od potu brzuchem, więc wkładanie bluzy nie miało sensu, ale się nie odezwałam. Czułam się jak ryba w akwarium, która mrugając wolno oczami, wlepia szkliste spojrzenie w oglądających ją ludzi.

– To jakaś pomyłka – powtórzyłam tym samym wyważonym tonem. W zwykłych okolicznościach dziwnie bym się czuła, wiedząc, że mama widzi mnie ubraną tylko w bieliznę, ale właśnie to miałam na sobie, gdy wieczorem zasnęłam nad zadaniem domowym z letniego kursu, teraz zaś myśl, że mama zauważy kolczyk tkwiący w moim pępku od zeszłego roku, była najmniejszym z moim zmartwień. – Matt nie rozmawia ze mną od miesięcy. Niemożliwe, żeby poprosił o mnie. Musiał majaczyć.

Ratowniczka medyczna po przyjeździe na miejsce wypadku zrobiła nagranie kamerą zamontowaną w kamizelce. Na

nagraniu Matthew Hernandez – mój były najlepszy przyjaciel – poprosił, żebym przyszła na Ostatnią Wizytę. Była to powszechnie przyjęta procedura w tego typu przypadkach, gdy lekarze przewidywali, że niezależnie od podjętych w szpitalu działań dojdzie do zgonu. Medycy obliczali prawdopodobieństwo, doprowadzali pacjenta do stabilnego stanu i wzywali po kolei ostatnich odwiedzających, żeby ci mogli połączyć się ze świadomością bliskich balansujących na krawędzi życia i śmierci.

– Prosił nie tylko zaraz po wypadku, Claire, wiesz o tym. – Mama starała się mówić łagodnym tonem, lecz słowa brzmiały krótko, urywanie. Podała mi podkoszulek, przejechała wzrokiem po moim brzuchu i przekłutym pępku, ale nic nie powiedziała. Wciągnęłam koszulkę przez głowę, chwyciłam dżinsy. – Matt skończył już osiemnaście lat.

Po skończeniu osiemnastego roku życia każdy, kto chciał uczestniczyć w programie Ostatnich Wizyt – czyli teraz już praktycznie każdy – musiał podać listę odwiedzających. Ja mogłabym zrobić coś takiego dopiero na wiosnę przyszłego roku. Matt był jednym z najstarszych w naszej klasie.

– Nie wiem... – Wsparłam głowę na ręce. – Nie potrafię...

– Możesz odmówić, jeśli chcesz. – Mama delikatnie położyła dłoń na moim ramieniu.

– Nie. –Pokręciłam głową, wbijając czoło w nasadę dłoni. – To jedno z jego ostatnich życzeń...

Urwałam, zanim głos mi się załamał.

Nie chciałam wpuszczać Matta do swojej świadomości. Nie chciałam nawet przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi – bardzo bliskimi – ale potem dużo się zmieniło. A teraz on nie zostawiał mi wyboru. Co miałam zrobić, odmówić i nie uszanować jego ostatniej woli?

– Lekarze kazali się spieszyć. Wizyta ma się odbyć w czasie, gdy będą przygotowywać go do operacji, dlatego mogli dać tobie i mamie Matta tylko godzinę. – Mama kucała przede mną, zawiązywała mi buty, jak gdybym znów była małym dzieckiem.

Miała na sobie jedwabną podomkę ozdobioną wyszywanymi kwiatami, przetartą na łokciach i z wystrzępionymi mankietami. Widywałam ją w tej podomce codziennie, odkąd dostała ją od taty na Boże Narodzenie, gdy miałam siedem lat.

– Jasne. – Doskonale to rozumiałam. Każda sekunda była cenna jak kropla wody podczas suszy.

– Na pewno chcesz jechać sama? – spytała mama. Przez chwilę wpatrywałam się w różowy kwiatek poniżej jej ramienia, znajomy wzór pochłonął mnie bez reszty.

– Jasne – powtórzyłam. – Na pewno.

Usiadłam na marszczonym papierze, który przedarł się, gdy się poprawiłam, żeby było mi wygodniej. Kozetka nie przypominała tych, na których siadałam przed pobraniem krwi, badaniem odruchów czy badaniem ginekologicznym; była miększa, wygodniejsza. Zaprojektowana z myślą o tym, co miało się wydarzyć.

Po drodze na salę mijałam pielęgniarki w zielononiebieskich fartuchach, z podkładkami do pisania w rękach. Mijałam zamartwiające się rodziny stojące z kurczowo zaciśniętymi dłońmi, zasłaniające się naciągniętymi na pięści rękawami swetrów. Na pierwszą oznakę żałoby przybieramy postawę obronną, kulimy się, osłaniamy najwrażliwsze miejsca.

Nie czułam się jedną z takich osób. Nie martwiłam się ani nie bałam; wypełniała mnie pustka. Sunęłam po korytarzach niczym duch w filmie.

Doktor Linda Albertson przyszła z termometrem i aparatem do mierzenia ciśnienia, żeby mnie zbadać. Uśmiechnęła się krzepiąco. Zaczęłam się zastanawiać, czy ćwiczyła tę minę w lustrze – łagodne spojrzenie, delikatny uśmiech – specjalnie po to, aby nie pogłębiać żalu pacjentów.

– Sto piętnaście na pięćdziesiąt – oznajmiła po zmierzeniu ciśnienia. Zawsze mówią to takim tonem, jak gdyby się spodziewali,

że doskonale wiemy, co oznaczają te liczby. Tym razem jednak lekarka wyjaśniła: –

Trochę niskie. Ale w porządku. Jadłaś coś dzisiaj?

Przetarłam oczy wolną ręką.

– Nie wiem. Chyba nie – jest środek nocy.

– Prawda. – Paznokcie miała pomalowane na lazurowy kolor. Wyglądała bardzo stosownie i poprawnie w wykrochmalonym białym fartuchu, z włosami zebranymi w staranny kok, ale te jej paznokcie były zastanawiające. Za każdym razem, gdy poruszyła dłońmi, przykuwały moją uwagę. – Cóż, jestem pewna, że sobie poradzisz. Nie jest to zbyt trudna procedura. – Musiałam chyba spojrzeć na nią w jakiś szczególny sposób, ponieważ dodała: – Pod względem fizycznym, oczywiście.

– Gdzie on jest? – spytałam.

– W pokoju obok – odpowiedziała doktor Albertson. – Gotowy do wizyty.

Wbiłam w ścianę spojrzenie, jak gdybym siłą woli mogła nadać swojemu wzrokowi właściwości promieni rentgenowskich. Próbowałam wyobrazić sobie, jak wygląda Matt na szpitalnym łóżku, przykryty do pasa bladozieloną pościelą. Czy jest tak posiniaczony, że trudno go poznać? Czy może jego obrażenia są jeszcze gorsze, ponieważ kryją się głęboko pod powierzchnią skóry, dając fałszywą nadzieję?

Lekarka podłączyła mnie do urządzeń kontrolnych płynnymi ruchami przypominającymi taniec: lazurowe paznokcie wznosiły się, opadały, stukały i naciskały. Elektrody spoczęły na mojej głowie niczym korona, jedną rękę ozdobił delikatnie wpięty wenflon. Doktor Albertson była jak dama dworu strojąca mnie na bal.

– Co wiesz na temat tej metody? – spytała lekarka. – Niektórzy starsi pacjenci potrzebują pełnych wyjaśnień, ale większość młodych niekoniecznie.

– Wiem, że będziemy mogli wrócić do wspólnych wspomnień, do miejsc, w których razem byliśmy, ale nigdzie poza

tym. – Palcami u nogi musnęłam zimne kafelki. – I że będzie się to działo szybciej niż w czasie rzeczywistym.

– To prawda. Twój umysł wygeneruje połowę obrazu, jego umysł – drugą połowę. Wszelkie luki wypełni program, który na podstawie informacji pochodzących z elektrycznego sprzężenia zwrotnego z waszych mózgów określi, jak najlepiej to zrobić – wyjaśniła doktor Albertson. – Być może będziesz musiała wytłumaczyć Matthew, co się dzieje, ponieważ wchodzisz przed jego matką i pierwsze chwile mogą być dezorientujące. Myślisz, że sobie poradzisz?

–Tak – opowiedziałam. – Chyba nie będę miała innego wyjścia, prawda?

– Raczej nie, to prawda. – Lekarka zacisnęła usta. – Proszę się położyć.

Położyłam się, dygocząc w szpitalnej koszuli, marszczony papier drżał razem ze mną. Zamknęłam oczy. To tylko pół godziny. Pół godziny, które mogę podarować komuś, kto kiedyś był moim najlepszym przyjacielem.

– Proszę liczyć od dziesięciu w dół – poleciła doktor Albertson.

Podobnie liczy się kroki w walcu. Zaczęłam odliczać po niemiecku. Nie mam pojęcia dlaczego.

Nie przypominało to zasypiania – tego ciężkiego uczucia zapadania się. Raczej miałam wrażenie, że świat wokół mnie znika kawałek po kawałku – najpierw obraz, potem dźwięk, następnie dotyk papieru i miękkiej kozetki. W ustach poczułam smak czegoś gorzkiego, przypominającego alkohol, a już w następnej chwili świat znów się pojawił, ale inny niż wcześniej.

Zamiast leżeć na sali, stałam w tłumie, otaczały mnie rozgrzane ludzkie ciała, owiewały rytmiczne oddechy. Wszystkie głowy były zadarte, oczy zwrócone w stronę sceny, wszyscy czekali, aż pracownicy techniczni przygotują sprzęt na wejście

zespołu. Obróciłam się do Matta i szeroko się uśmiechnęłam, podskakując na palcach, żeby pokazać mu, jak bardzo jestem podekscytowana.

To jednak było tylko wspomnienie. Poczułam, że coś jest nie tak, jeszcze zanim stanęłam twardo na ziemi i zrozumiałam, o co chodzi. Ścisnęło mnie w żołądku, gdy przypomniałam sobie, że to Ostatnia Wizyta, że wybrałam to wspomnienie, ponieważ tamtego dnia po raz pierwszy poczułam się przy nim jak przy bliskim przyjacielu. I gdy pomyślałam, że obok mnie w rozwalających się tenisówkach i z czarną grzywką opadającą na czoło stoi prawdziwy Matthew, ten z teraźniejszości.

Nasze spojrzenia skrzyżowały się, w jego szeroko otwartych oczach widać było oszołomienie. Wokół nas nic się nie zmieniło, ludzie nadal tłoczyli się pod sceną, techniczni wciąż mocowali zestaw perkusyjny i kręcili gałkami przy wzmacniaczach.

– Matt – powiedziałam głosem skrzypiącym niczym stare drzwi. – Jesteś tam?

– Claire – odpowiedział.

– Matt, to wizyta – oświadczyłam. Nie potrafiłam wydusić z siebie: „ostatnia". I bez tego na pewno wiedział, co mam na myśli. – Jesteśmy w naszych wspólnych wspomnieniach. Czy... rozumiesz?

Rozejrzał się, zerknął w lewo na dziewczynę z papierosem zwisającym z ust, poplamionym śladami szminki, i przed siebie, na chudego chłopaka o skąpym zaroście i w przyciasnej flanelowej koszuli.

– Wypadek – powiedział sennym głosem, spojrzenie wciąż miał rozkojarzone. – Ratowniczka medyczna trochę przypominała ciebie.

Wyciągnął rękę obok chudego chłopaka, przejechał palcami po fasadzie sceny, ścierając z niej kurz. W następnej chwili uśmiechnął się. Zwykle nie myślę o nim w ten sposób, ale tamtego dnia Matt wyglądał świetnie, jego ciemna skóra była jeszcze bardziej brązowa od słońca, a jego uśmiech jaśniejszy niż zwykle.

– Wszystko... w porządku? – spytałam. Jak na człowieka, który właśnie się dowiedział, że niedługo umrze, wydawał się dość opanowany.

– Chyba tak – odpowiedział. – Pewnie ma to więcej wspólnego z lekami, którymi mnie nafaszerowali niż z „wewnętrznym spokojem wypływającym z pogodzenia się z własnym losem", czy jak to leciało.

Miał rację. Doktor Albertson doszła do perfekcji w łączeniu środków uspokajających i podawaniu ich w takich dawkach, żeby umierający człowiek zamiast wpaść w panikę, potrafił świadomie i spokojnie przeżyć Ostatnią Wizytę. Jednak z drugiej strony Matt często na różne sytuacje reagował inaczej, niż się spodziewałam, dlatego nie byłabym zdziwiona, gdyby w obliczu śmierci pozostał niewzruszony jak skała.

Spojrzał na mnie.

– To nasz pierwszy koncert Chase Wolcott. Zgadza się?

– Tak – powiedziałam. – Poznaję po tej dziewczynie, która stoi obok ciebie. Za jakiś czas przypali cię papierosem.

– Ach, tak, była nie do podrobienia. Prawdziwa perełka. Może nawet brylant.

– Nie rozpędzaj się, co najwyżej nieoszlifowany diament.

– Ty zawsze musisz sprowadzić mnie na ziemię.

Uśmiech, który wypłynął mi na wargi, niemal natychmiast zniknął. Niektóre nawyki w przyjaźni były jak pamięć mięśniowa, pozostawały takie same, nawet jeśli wszystko inne się zmieniło. Znałam nasze żarty, nasz rytm, choreografię naszej przyjaźni. To jednak nie oznaczało, że zmienił się obecny stan rzeczy. Każdy normalny człowiek próbowałby wykrztusić jakieś przeprosiny, rozpaczliwie pragnąłby naprawić wszystko, zanim skończy się czas. Każdy normalny człowiek płakałby, wiedząc, że widzi przyjaciela po raz ostatni.

Bądź normalna, napominałam siebie, pragnąc wywołać łzy. *Chociaż raz, chociaż tylko dla niego.*

– Dlaczego tu jestem, Matt? – spytałam.

Oczy wciąż miałam suche.

– Nie chciałaś się ze mną spotkać? – odparł.

– Nie o to chodzi. – Nawet nie skłamałam. Po części chciałam, a po części nie chciałam się z nim zobaczyć; chciałam, ponieważ była to jedna z ostatnich szans na to, żeby go zobaczyć, a nie chciałam... z powodu tych wszystkich rzeczy, które mu zrobiłam. Ponieważ sprawiało mi to zbyt wiele cierpienia, a nigdy nie byłam zbyt dobra w znoszeniu bólu.

– Nie jestem pewny. – Przekrzywił głowę. – Chciałem opowiedzieć ci historię, to wszystko. A ty będziesz musiała ze mną wytrzymać, bo wiesz, że nie zostało mi więcej czasu.

– Matt... – Jednak nie było sensu się z nim sprzeczać. Miał rację – prawdopodobnie nie zostało mu więcej czasu.

– Chodź. Ta historia nie zaczyna się tutaj. – Chwyta mnie za rękę i sceneria się zmienia.

Poznaję samochód Matta po zapachu: stare krakersy i zwietrzały odświeżacz do powietrza „o aromacie nowego samochodu" zwisający z lusterka wstecznego. Pod moimi stopami chrzęszczą paragony i rozsypane chipsy ziemniaczane. W przeciwieństwie do nowoczesnych, zasilanych energią elektryczną samochodów, auto przyjaciela miało napęd hybrydowy, wydawało więc odgłos przypominający skrzyżowanie świstu z buczeniem.

Deska rozdzielcza oblewała twarz kierowcy błękitną poświatą, przez co białka jego oczu lśniły w półmroku. Matt zdążył już rozwieźć pozostałych – ludzi wracających z tej samej imprezy i mieszkających mniej więcej po drodze – i zostawił mnie na koniec, ponieważ mieszkałam najbliżej. Właściwie nigdy wcześniej ze sobą nie rozmawialiśmy, dopiero tamtego wieczoru, podczas gry w rozbieranego pokera. Ja straciłam sweter i dwie skarpetki. On był bliski zdjęcia bokserek, gdy oświadczył, że musi już wracać do domu, inaczej będzie miał szlaban. Bardzo sprytnie.

Nawet będąc we wspomnieniu, rumienię się na myśl o jego nagim ciele przy stole pokerowym. Miał sylwetkę typową dla kogoś, kto niedawno gwałtownie urósł: tyczkowatą, lekko zgarbioną, jak gdyby czuł się skrępowany swoim niespodziewanie wysokim wzrostem.

Podniosłam z podłogi samochodu jeden z paragonów i rozprostowałam go na kolanie.

– Znasz Chase Wolcott? – spytałam. – Paragon kwitował zakup ich najnowszego albumu.

– Czy ich znam? – powtórzył, zerkając na mnie. – Kupiłem płytę w dniu wydania.

– Nieźle. Ale ja zamówiłam ją trzy miesiące wcześniej.

– Też na płycie CD?

– Nie – przyznałam. – Aż taką retromaniaczką nie jestem. Chociaż płyty wracają do mody. Powinnam złożyć ukłon Jedynemu Prawdziwemu Fanowi?

Roześmiał się. Miał przyjemny śmiech, o pół oktawy wyższy niż głęboki ton głosu. Zachowywał się tak naturalnie, że ja również czułam się przy nim swobodnie, chociaż rzadko mi się to zdarzało, gdy siedziałam sam na sam w samochodzie z kimś, kogo praktycznie nie znałam.

– Pod warunkiem, że będzie to jedyne prawdziwe retrodygnięcie – odparł.

Nacisnął parę guzików na desce i płyta się włączyła. Pierwszy kawałek, *Traditional Panic*, był szybszy od pozostałych, stanowił dziwny zlepek brzmienia elektrycznej gitary z dźwiękami dzwonków. Wokalistka śpiewała autentycznym kontraltem, przez co czasami brzmiała jak mężczyzna. Przez ostatnie dwa lata przebierałam się za nią na Halloween i nikt nigdy nie rozszyfrował mojego kostiumu.

– Jak ci się podoba? Ta nowa płyta?

– Nie zakochałam się w niej. Jest o wiele bardziej optymistyczna od poprzednich i trochę... Sama nie wiem, może za bardzo mainstreamowa czy jakoś tak.

– Czytałem artykuł o głównym gitarzyście, tym, który komponuje ich kawałki – okazało się, że przez całe życie walczył z depresją i kiedy pracował nad tym albumem, właśnie wychodził z dołka. Teraz ma się lepiej... Jest szczęśliwy z żoną, spodziewają się dziecka. Dlatego jak słucham tych nowych piosenek, słyszę po prostu, że koleś czuje się lepiej, wiesz?

– Nigdy mnie zbytnio nie ruszały radosne kawałki. – Zabębniłam palcami po desce rozdzielczej. Miałam na sobie wszystkie swoje pierścionki – jeden spleciony z gumek, drugi z bursztynem, w którym tkwiła zatopiona mrówka, kolejny nabijany z wierzchu ćwiekami oraz starą obrączkę zmieniającą kolor w zależności od nastroju właścicielki. – Po prostu jakoś ich nie czuję.

Matt zmarszczył brwi.

– Smutek i gniew to nie jedyne uczucia, które warto czuć.

– Wcale tego nie powiedziałeś – oświadczam, wyciągając nas ze wspomnień i wracając do wizyty. – Ucichłeś i milczałeś, dopóki nie dojechaliśmy do mnie. Wtedy na podjeździe zapytałeś, czy pójdę z tobą na koncert.

– Przyszło mi do głowy, że może chciałabyś wiedzieć, co wtedy pomyślałem. – Wzruszył ramionami, ręce nadal trzymał na kierownicy.

– Dalej mam inne zdanie niż ty w sprawie tamtej ich płyty.

– A kiedy ostatnio jej słuchałaś?

Nie odpowiedziałam od razu. Przestałam słuchać jakiejkolwiek muzyki parę miesięcy temu, gdy jej dźwięk zaczął przeszywać mi klatkę piersiową niczym igła. Przestawiłam się na programy radiowe emitujące głównie wiadomości i rozmowy. Nieustająca paplanina uspokajała mnie, nawet jeśli nie słuchałam tego, o czym mówiły kolejne głosy.

– Trochę minęło – odpowiedziałam.

– To posłuchaj teraz.

Tak zrobiłam. Siedziałam, patrząc przez okno na naszą dzielnicę. Ja mieszkałam w jej lepszej części, on w gorszej, w powszechnym tego słowa rozumieniu. Jednak dom Matthew, chociaż mały,

był zawsze ciepły, zapchany kiczowatymi przedmiotami, pamiątkami gromadzonymi przez jego rodziców. Zachowali wszystkie gliniane dzbanki, które Matt zrobił w dzieciństwie na kółku ceramicznym – stały na parapetach, mimo że były koszmarnie koślawe i powleczone szkliwem w gryzących się kolorach. Na ścianach wisiały makatki, na których mama Matta wyhaftowała powiedzonka i wierszyki o błogosławieństwach ogniska domowego.

Mój dom – wyłaniający się po prawej stronie – był okazały, punktowe reflektory oświetlały jego białe ściany i portyk, który sprawiał, że całość przypominała historyczną posiadłość Jeffersona znaną z podobizny na pięciocentówkach. Wróciło do mnie ukryte głęboko w pamięci wspomnienie: lęk, który poczułam, gdy zatrzymaliśmy się na podjeździe. Nie chciałam wtedy wracać do domu. Teraz też nie chciałam.

Przez chwilę siedziałam i słuchałam drugiego utworu – zatytułowanego *Bezwładność* – który był jedyną piosenką miłosną na tej płycie i mówił o sile bezwładności unoszącej gitarzystę w kierunku jego żony. Gdy usłyszałam ten kawałek po raz pierwszy, pomyślałam, że to strasznie nieromantyczne – trafić na siebie i pobrać się tylko dlatego, że jakaś zewnętrzna siła popchnęła go na oślep w stronę tej ani innej kobiety, a on nie potrafił się tej sile oprzeć. Teraz jednak usłyszałam coś więcej, jak gdyby był w tym jakiś plan, jak gdyby wszystko, co go w życiu spotkało, wytyczyło mu drogę. Nawet jego błędy, najbardziej mroczne okresy, miały go doprowadzić właśnie do niej.

Łzy napłynęły mi do oczu, wbrew mojej woli. Zamrugałam, aby je powstrzymać.

– Co próbujesz osiągnąć, Matt? – spytałam.

Uniósł ramię.

– Chcę tylko powspominać dobre chwile z najlepszą przyjaciółką.

– Dobra – mruknęłam. –W takim razie przenieś nas do twojego ulubionego momentu.

– Ty pierwsza.

– Dobra – powtórzyłam. – W końcu to twoja impreza – zacytowałam słowa piosenki.

– I mogę płakać, jeśli zechcę – zanucił, podczas gdy samochód i zapach starych krakersów zaczęły się rozwiewać w powietrzu.

Znałam go z widzenia, tak jak zna się ludzi, z którymi chodzi się do szkoły, i pamięta się ich imiona, chociaż nie zamieniło się z nimi słowa. Mieliśmy razem jeden czy dwa przedmioty, ale nigdy nie siedzieliśmy obok siebie, nigdy nie rozmawialiśmy.

W chwili zawieszenia między wspomnieniami wróciłam pamięcią do momentu, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Było to na korytarzu szkolnym, szedł z torbą przewieszoną przez ramię, kosmyk włosów wsuwał mu się w kącik oka. Miał czarne włosy, wtedy jeszcze opadające i założone za uszy. Jego orzechowe oczy kontrastowały ze śniadą cerą – odziedziczył je po mamie, Niemce z pochodzenia, a nie po ojcu, który był Meksykaninem – na policzkach zaś czerwieniły się wypryski. Teraz zostały po nich blizny widoczne jedynie przy bardzo jasnym świetle, spadek po paskudnym okresie dojrzewania.

Czekając aż znów pojawi się przede mną, zastanawiałam się, jak to możliwe, że już na samym początku nie dostrzegłam w nim zadatków na przyjaciela, jakiegoś specyficznego błysku, światła. Bardzo długo nie był dla mnie nikim szczególnym. Potem nagle stał się kimś wyjątkowym, jedynym człowiekiem, który mnie rozumiał, a na koniec – ostatnim, który chciał mieć ze mną do czynienia. Od pewnego czasu nikt nie chce mieć ze mną do czynienia. Nawet ja sama.

Najpierw poczułam ziarnka piasku między palcami u nóg – wciąż jeszcze gorące, chociaż słońce zaszło parę godzin wcześniej – w następnej chwili doleciał mnie mocny zapach dymu

z ogniska i trzask ognia. Pod sobą wyczułam chropowatą korę pnia leżącej na ziemi kłody, a obok mnie siedział Matt, trzymając na kolanach bongosy.

Nie należały do niego – z tego co wiedziałam, Matt nie miał swoich bongosów – zwędził je naszemu kumplowi Jackowi i teraz co chwila w nie bębnił, jak gdyby bawiło go nasze rozdrażnienie. Trzy razy kazaliśmy mu siedzieć cicho, ale nas nie słuchał. Matt potrafił równie skutecznie doprowadzać do szału, co rozśmieszać.

Na prawo ode mnie fale uderzały o skały, rozbijały się na gigantycznych głazach, na których czasami podczas odpływów ludzie wypisywali sprejem wyznania miłosne. Niektóre napisy były tak wytarte, że zostały z nich jedynie fragmenty liter. W pierwszej klasie gimnazjum zrobiłam na ich temat projekt ze sztuki, sfotografowałam każdy kamień i ułożyłam zdjęcia od najnowszego do najstarszego napisu. Chciałam pokazać, jak miłość z biegiem czasu zanika. Czy coś w tym stylu. Teraz gdy o tym myślę, czuję zażenowanie; byłam wtedy taka zielona, a jednocześnie tak bardzo zachwycona sobą.

Po drugiej stronie ogniska Jack brzdąkał na gitarze, a Lacey – moja najstarsza przyjaciółka – zawodzącym głosem śpiewała kołysankę *Mrugaj, mrugaj gwiazdko ma*,co parę sekund parskając przy tym śmiechem. Ja trzymałam patyk, który znalazłam w zaroślach przy plaży. Zdjęłam z niego korę, po czym na jego czubek nadziałam słodką piankę; teraz pianka przypominała ognistą kulę.

– Czyli twój plan polega na tym, żeby zmarnować Bogu ducha winną piankę – odezwał się Matt.

– A czy wiesz, co się stanie z pianką, jeśli będzie się ją piekło zbyt długo? – odparłam. – Nie wiesz. Bo nigdy nie potrafiłeś się powstrzymać, żeby ich nie zjeść, i nie przekroczyłeś punktu granicznego.

– Są pytania, które nie wymagają odpowiedzi. Mnie w zupełności zadowala to, że mogę jeść pieczone pianki do końca życia.

– Dlatego nie nadajesz się na artystę.

– Ponieważ nie interesują mnie przypalone pianki?

– Nie. – Parsknęłam śmiechem. – Ponieważ życie w zupełności cię zadowala, zamiast... wzbudzać nieustanny niepokój.

Uniósł brwi.

– Chcesz powiedzieć, że jestem ograniczony? Prostoduszny jak jakiś golden retriever?

– Nie! – Pokręciłam głową. – Po pierwsze, gdybyś miał być psem, to na pewno byłbyś labradorem...

– Labradorem?

– ...a po drugie, gdybyśmy wszyscy byli tacy sami, świat byłby nudny.

– Dalej myślę, że potraktowałaś mnie wtedy trochę z góry. – Urwał i uśmiechnął się do mnie. – Ale mimo wszystko daruję ci, bo przechodziłaś wtedy fazę idealistycznego buntu artystycznego...

– Hipokryta! – zawołałam. – Szufladkowanie ludzi i wytykanie im, że przechodzą jakąś fazę, to też traktowanie ich z góry.

W odpowiedzi Matt wyrwał mi z dłoni kijek, zdmuchnął płomienie z rozpadającej się pianki, po czym zdjął ją z patyka i zaczął przerzucać z ręki do ręki, żeby ostygła. Na koniec wrzucił osmaloną, ale z jednej strony wciąż maziowatą piankę do ust.

– Koniec eksperymentu – powiedział z pełnymi ustami. – Chodź, idziemy.

– Dokąd?

Nie odpowiedział, chwycił mnie tylko pod ramię i odciągnął od ogniska. Gdy tuż przed skałami znaleźliśmy ścieżkę, Matt zaczął biec, a ja nie miałam wyboru, musiałam ruszyć za nim. Goniłam go, śmiejąc się na głos, ciepłe letnie powietrze owiewało mi policzki i rozwiewało włosy.

W następnej chwili przypomniałam sobie.

Prowadził mnie na niski piaszczysty klif wcinający się w ocean. Skakanie z klifu do wody było zabronione, ale ludzie nic sobie z tego nie robili – zwłaszcza ci nastoletni, u których nie

wykształciła się jeszcze część mózgu odpowiedzialna za myślenie o konsekwencjach. Było to błogosławieństwem, a jednocześnie przekleństwem.

Patrzyłam, jak Matt rozpędza się, skacze z klifu, przez sekundę wymachuje w powietrzu rękami i nogami, po czym wpada do wody.

Zatrzymałam się niecały metr od krawędzi i przez chwilę stałam z zapartym tchem. Potem usłyszałam jego śmiech.

– Chodź! – zawołał.

O wiele bardziej wolałam przyglądać się z boku tego typu wygłupom, które obrastały potem w moich myślach legendą. Przyglądałam się życiu, żeby ułożyć je w jedną spójną historię – pomagało mi to odnaleźć w nim jakiś sens. Czasami jednak miałam już dość własnych nieustannie niespokojnych myśli.

Tym razem postanowiłam być nie tylko obserwatorem. Cofnęłam się o kilka kroków, strzepnęłam drżące ręce i zerwałam się do biegu. Biegnąc, zeskoczyłam z klifu, w butach, dżinsach, tak jak stałam.

Przez jedną pełną napięcia chwilę znalazłam się w stanie nieważkości i poczułam się wolna.

Wiatr owiewał mi kostki, żołądek podszedł do gardła, po czym wpadłam do wody, przecinając ją jak nóż. Prąd owinął się wokół mnie. Zaczęłam kopać nogami niczym ropucha, żeby wypchnąć się na powierzchnię.

– To właśnie mam na myśli – powiedział Matt, kiedy się wynurzyłam.

Gdy spojrzeliśmy sobie w oczy ponad rozkołysaną wodą, przypomniałam sobie, gdzie tak naprawdę jestem. Leżę w szpitalnej sali. I nie wiem, ile czasu zdążyło już upłynąć.

– Ja też lubię to wspomnienie – przyznał, uśmiechając się do mnie, ale już nie we wspomnieniu, a podczas wizyty. – Nie licząc tego momentu, kiedy przypominam sobie, że w kieszeni spodni mam stary portfel taty. Nie dało się go odratować.

– O, cholera – bąknęłam. – Nigdy tego nie mówiłeś.

Wzruszył ramionami.

– To tylko portfel.

Oczywiście kłamał. Żaden przedmiot, który należał do taty Matta, nie zaliczał się do kategorii „to tylko stara niepotrzebna rzecz", odkąd jego tata odszedł.

– Czyli to jest twoje ulubione wspomnienie? – spytał.

– To... ja... – Urwałam, nie przestawałam jednak ruszać nogami, żeby utrzymać się na powierzchni. Woda była chłodna, ale nie zimna. – Nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego, gdyby nie ty.

– Wiesz co? – Odchylił się do tyłu i położył na wodzie. – Ja też nie zrobiłbym tego, gdyby nie ty.

– Twoja kolej – oznajmiam. – Ulubione wspomnienie. Czas start.

– Dobra. Ale nie zapominaj, że sama o to prosiłaś.

Zawsze uważałam, że jest przystojny – raczej nie sposób było tego nie zauważyć, chyba że zasłaniałabym oczy za każdym razem, gdy zjawiał się w pobliżu. Zwłaszcza gdy obciął tę swoją opadającą czuprynę tak, że widać było jego twarz, silnie zarysowaną szczękę i całą resztę. Miał dołek w lewym policzku, ale w prawym już nie. Miał też krzywy uśmiech. I długie rzęsy.

Może bym się w nim zadurzyła, gdyby nie miał dziewczyny w czasie, kiedy się poznaliśmy. Zresztą wydawało się, że on cały czas jest zajęty. Prawdę mówiąc, doradzałam mu w sprawie trzech jego dziewczyn, które zdążyły się przewinąć, gdy już się przyjaźniliśmy: pierwsza była Lauren Gallagher, drobna, ale wymagająca gimnastyczka, która doprowadzała go do szału; druga, Lacey Underhill, moja koleżanka z pierwszej klasy, która poza zaraźliwym śmiechem nie miała z nim nic wspólnego; trzecia to nasza wspólna znajoma, Tori Rzeźnik (dość niefortunne nazwisko), która upiła się i obściskiwała z jakimś kolesiem na imprezie halloweenowej wkrótce po piątej randce z Mattem. Dwie godziny po randce – żeby być precyzyjnym – obśliniał ją obcy facet. Ten

przypadek był najtrudniejszy, ponieważ Matt wydawał się potem bardzo smutny i nie potrafił się na nią złościć, nawet gdy z nią zrywał. Nigdy nie potrafił długo się gniewać, nawet jeśli miał do tego dobry powód; złość uchodziła z niego niczym woda trzymana w zaciśniętej pięści. Chyba że sprawa dotyczyła mnie. Gniewał się na mnie dłużej niż na którąkolwiek ze swoich dziewczyn.

Ja z kolei miałam krótką wakacyjną przygodę z Paulem (ksywka: Paul Potworny, nadana mu przez Matta), na którą składało się między innymi kilka namiętnych randek na plaży. Jednak czar prysł, gdy odkryłam w jego schowku na rękawiczki kolekcję zasuszonych kóz z nosa. Poza tym generalnie wolałam samotność.

Z rozmów z Lacey wywnioskowałam, że dziewczyny nie potrafiły namówić Matta, żeby przestał sypać żartami z częstotliwością jeden dowcip na sekundę, ponieważ robiło się to denerwujące, gdy próbowały poznać go bliżej. Ja nigdy nie miałam tego problemu.

Usłyszałam plusk deszczu i brzęk dzwoneczków wietrznych – tych wiszących przy drzwiach wejściowych do domu Matta. Włosy przykleiły mi się do twarzy. Zanim zadzwoniłam do drzwi, odgarnęłam wilgotne kosmyki i związałam je w kok. Wtedy byłam przyzwyczajona do tego, że mam długie włosy, ale teraz zdawały mi się ciążyć. Odzwyczaiłam się od ich delikatnego łaskotania w policzek.

Matt otworzył drzwi, dzieliła nas siatka przeciwko komarom. Był ubrany w spodenki, które nosił na wuefie – nad prawym kolanem widniało wypisane jego imię – i złachany, przymały podkoszulek. Pod oczami miał sińce, ale ciemniejsze niż zwykle – Matt zawsze wydawał się trochę zaspany, jak gdyby przed chwilą ktoś wyrwał go z drzemki.

Spojrzał przez ramię na salon, w którym na kanapie siedziała jego mama i oglądała telewizję. Zamknął za sobą drzwi, po czym wyszedł na werandę.

– Co tam? – spytał, a ja słysząc ton jego głosu – odrętwiały z żałoby – czuję dławienie w gardle. Zarówno we wspomnieniu, jak i podczas wizyty. Nigdy nie było mi łatwo oglądać go w takim stanie.

– Możesz wyrwać się na godzinę? – zaproponowałam.

– Przepraszam, Claire, ale po prostu... Na razie nie mam ochoty nigdzie wychodzić.

– Och, to nie będzie nic wielkiego. Zrób mi tę przyjemność, dobra?

– W porządku. Powiem mamie.

Minutę później szedł w japonkach (sklejonych od spodu taśmą klejącą) przez deszcz w stronę mojego samochodu. Długi żwirowany podjazd przed domem w ciągu upalnego lata zarósł po bokach chaszczami, zaparkowałam więc na ulicy.

Dom Matta był stary, mały i zatęchły. Zanim wprowadziła się do nich babcia, Matt miał własny pokój, ale teraz sypiał na kanapie w salonie. Jednak mimo że ciasny, ich dom zawsze był otwarty i pojemny, gotów przyjąć każdego pod dach. Ojciec Matta zwracał się do mnie „córko" tyle razy, że straciłam rachubę.

Umarł trzy dni temu. Wczoraj odbył się pogrzeb. Matt pomagał nieść trumnę, ubrany w za duży garnitur, który kiedyś należał do jego dziadka. Przyszłam na ceremonię razem z Lacey, Jackiem i pozostałymi znajomymi z naszej paczki, włożyłam czarne spodnie – nie znosiłam sukienek. Potem zostaliśmy na stypie, zjedliśmy kanapki i paszteciki, złożyliśmy kondolencje. Strasznie się spociłam, ponieważ spodnie były wełniane, a w domu Matta nie zamontowano klimatyzacji i byłam pewna, że czuł, jak lepię się od potu, gdy mnie obejmował.

Podziękował nam z roztargnieniem za to, że przyszliśmy. Jego mama cały czas błąkała się po domu ze łzami w oczach, jak gdyby zapomniała, gdzie jest i co właściwie tu robi.

Teraz Matt i ja wsiedliśmy do samochodu, mocząc siedzenia deszczową wodą. W stojaku na kubki stały dwa styropianowe pojemniki: jeden z wiśniowym sokiem (mój), drugi

z truskawkowym koktajlem mlecznym (dla niego). Nie wspomniałam o nich słowem, a on nie zapytał, czy może się poczęstować; sięgnął po koktajl i zaczął pić.

Z perspektywy czasu uderzyło mnie to, jak swobodnie się czuliśmy, siedząc razem w ciszy, słuchając deszczu bębniącego o karoserię i poruszających się ze świstem wycieraczek, nie czując przymusu, żeby mówić o tym, dokąd jedziemy ani co się dzieje w naszych głowach. Tego rodzaju milczenie jest czymś jeszcze rzadszym niż swobodnie płynąca rozmowa. Nie potrafiłam tak milczeć z nikim innym.

Powoli jechałam mokrymi drogami, zawiozłam nas na parking przy plaży i tam się zatrzymałam. Niebo ciemniało z minuty na minutę, nie z powodu zbliżającego się zmierzchu, ale ponieważ nadciągała burza. Odpięłam pas.

– Claire, ja...

– Nie musimy rozmawiać – przerwałam mu. – Jeśli chcesz tylko posiedzieć, wypić koktajl, a potem wrócić do domu, nie ma sprawy.

Spuścił wzrok.

– Dobra – powiedział.

Również odpiął pas, wziął kubek do ręki. Patrzyliśmy na ocean, rozszalałe od sztormu fale. Błyskawica rozświetliła niebo, huk grzmotu, który poczułam w piersiach, wprawił w drganie oparcie siedzenia. Wypiłam cały sok, usta miałam poplamione na jasnoczerwony kolor.

Przed nami błyskawica uderzyła w ocean, przypominała długą cienką błyszczącą nitkę łączącą chmury z linią horyzontu. Uśmiechnęłam się lekko.

Matt wyciągnął rękę w moją stronę, ujęłam go za dłoń. Drgnęłam, gdy nasza skóra zetknęła się, ale nie byłam pewna, czy poczułam to we wspomnieniu, czy dopiero teraz. Czy to możliwe, żebym przeoczyła wtedy coś takiego?

Jego ręka drżała, gdy płakał. Z trudem powstrzymywałam łzy, nie puściłam go jednak ani na chwilę. Trzymałam go mocno,

chociaż nasze dłonie zaczęły się pocić, a koktajl mleczny roztapiał się w kubku na jego kolanach.

Nagle zorientowałam się, że tamten moment powinien się już zakończyć – po minucie, może dwóch, Matt puścił moją rękę, a ja odwiozłam go do domu. Ale podczas wizyty przyjaciel przeciągnął tę chwilę, siedzieliśmy z dłońmi złączonymi w ciepłym silnym uścisku. Nie cofnęłam ręki.

Matt postawił kubek na podłodze obok nóg, otarł policzki nadgarstkiem.

– To jest twoje ulubione wspomnienie? – spytałam cicho.

– Zrobiłaś coś, czego potrzebowałem – powiedział równie cicho. – Wszyscy inni czegoś ode mnie chcieli – żebym zapewnił ich, że nic mi nie jest, że mam się dobrze, chociaż tak naprawdę wcale nie miałem się dobrze. Albo starali się, żeby było mi lżej, jak gdyby utrata ojca mogła być czymś lekkim. – Pokręcił głową. – A ty tylko chciałaś mi pokazać, że jesteś przy mnie.

– Wiesz – mruknęłam – nie potrafiłam znaleźć słów.

Oczywiście była to tylko część prawdy. Ja sama nienawidziłam, gdy ktoś próbował mnie uspokajać, pakować mój gniew i ból do pudełka, po czym wręczać mi go niemalże jak podarunek z dopiskiem: „Widzisz? To w sumie nic wielkiego". Nie chciałam zrobić czegoś podobnego Mattowi.

– Nikt nie potrafi – odparł. – Ale wszyscy na siłę próbują. Niech to szlag.

Większość ludzi postrzegała Matta w ten sam sposób: widzieli w nim kolesia, który uwielbiał żartować w każdej sytuacji, lubił się droczyć, zaczepiać i drażnić, aż w końcu miało się ochotę go udusić. Dla nich był zawsze uśmiechniętym dowcipnisiem. Ja jednak znałam go z innej strony. Znałam Matta, który każdej soboty przygotowywał mamie śniadanie i który sprzeczał się ze mną na temat sztuki, muzyki i sensu życia. Był jedyną osobą, na której mogłam polegać co do tego, że zawsze mi wytknie chwilową naiwność czy pretensjonalność. Zastanawiałam się, czy tylko mnie dopuścił do tej części siebie. Do siebie całego.

– Z perspektywy czasu myślę, że to również jedno z moich najmniej ulubionych wspomnień. – Cofnął rękę i odwrócił wzrok. – Nie dlatego, że jest bolesne, ale dlatego że przypomina, jak potrafiłaś towarzyszyć mi w cierpieniu... Kiedy jednak ty cierpiałaś, ja ciebie opuściłem.

Skrzywiłam się, jak gdyby jego brutalne słowa smagnęły mnie w twarz.

– To nie tak... – zaczęłam. – Nie ułatwiłam ci zadania. Wiem o tym.

Zamilkliśmy. Deszcz nieubłaganie bębnił o dach samochodu. Patrzyłam, jak jego krople odbijają się od przedniej szyby, tworząc z oceanu rozmazaną abstrakcyjną plamę, niewyraźną mieszaninę ciemnych barw.

– Martwiłem się o ciebie – przyznał. – Zamiast się wściec, powinienem ci po prostu o tym powiedzieć.

Próbowałam wykrztusić z siebie to, co pragnęłam mu przekazać: „Nie martw się o mnie. Czuję się dobrze". Chciałam się uśmiechnąć, dotknąć jego ramienia i zażartować. W końcu to Ostatnia Wizyta. Dotyczy jego, nie mnie; dotyczy wspólnych chwil, które jeszcze raz chcielibyśmy przeżyć, zanim Matt umrze.

– Dalej się o ciebie martwię – dodał, gdy nic mu nie odpowiedziałam.

To nie ja zaprowadziłam go do następnego wspomnienia, tego ważnego wspomnienia. W technologii umożliwiającej Wizytę zamiar miał zaskakująco ogromne znaczenie. Zawieszeni w dziwnej przestrzeni między swoimi świadomościami musieliśmy przyzywać wspomnienie, przyciągać je niczym rybę złapaną na haczyk, żebyśmy mogli obydwoje się w nim znaleźć. Jeśli tego nie zrobiliśmy, zostawałam sama w swoim umyśle przez czas który zdawał się nie kończyć, przypominał namiastkę wieczności.

Po śmierci ojca Matta odbyło się czuwanie przy zwłokach, następnie pogrzeb. Potem pogrążoną w żałobie rodzinę odwiedzali

ludzie z kościoła, do którego chodził Matt, a koleżanki z pracy jego mamy przynosiły gotowe obiady. Znajomi starali się wyciągać Matta z domu, próbowaliśmy tego dokonać również ja, Lacey i Jack, między innymi celując pistoletem na wodę w okno jego salonu. Rozpoczął się długi powolny proces sortowania rzeczy po zmarłym i podejmowania decyzji, co zatrzymać, a co oddać – pewnego razu gdy odwiedzałam Matta, jego mama rozpłakała się z twarzą wtuloną w stertę ubrań, a on i ja udawaliśmy, że niczego nie zauważamy. Z czasem ból zdawał się łagodnieć, mama Matta częściej się uśmiechała, a on sam wrócił do świata, trochę zmieniony, ale spokojny i zrównoważony.

Mniej więcej wtedy pojawiła się moja mama.

Miałam dwie matki: tę, która wychowywała mnie od dziecka, i tę, która bez uprzedzenia zostawiła tatę i mnie, gdy miałam pięć lat. Spakowała swoje rzeczy do starej toyoty, po czym zniknęła. Wróciła, gdy miałam czternaście lat, pulchniejsza i starsza niż tata ją zapamiętał, ale poza tym zupełnie taka sama.

Tata nalegał, żebym spędziła z nią trochę czasu, wybrałam się więc z nią do jej ciemni, która znajdowała się godzinę jazdy od naszego domu. Chciała pokazać mi swoje zdjęcia. W większości przedstawiały ludzi złapanych na przybieraniu jakiegoś wyrazu twarzy albo w chwilach, gdy myśleli, że nikt na nich nie patrzy. Fotografie choć czasami nieostre, zawsze były interesujące. Dotykając rogów zdjęć zawieszonych w oświetlonej na czerwono ciemni, opowiadała mi o każdym, o swoich najbardziej i najmniej ulubionych ujęciach.

Nienawidziłam siebie za to, że podobały mi się te fotografie. Nienawidziłam tego, że stałam razem z nią w ciemni i odkrywałam, że przemawiają do nas te same zdjęcia; tego, że porozumiewałyśmy się tajemnym językiem sztuki. Nie potrafiłam jednak nie kochać jej, to było silniejsze ode mnie, jak gdyby wspólne geny skazywały mnie na więź emocjonalną z matką i nie było sensu z tym walczyć.

Widziałam się z nią kilka razy, a potem któregoś dnia znów zniknęła. Znów bez uprzedzenia, bez pożegnania, nie podając nowego adresu ani żadnych wyjaśnień. Ciemnia opustoszała, dom wynajęto nowym lokatorom. Nie pozostał żaden ślad po jej obecności.

Tak naprawdę nigdy jej nie miałam, więc czymś niedorzecznym byłoby myślenie, że ją straciłam. Poza tym moja macocha, która pod wieloma ważnymi względami zachowywała się jak prawdziwa mama, nadal przy mnie była. Podchodziła do mnie z lekkim dystansem, ale zawsze z miłością. Nie miałam prawa czuć czegokolwiek, tłumaczyłam sobie, a przede wszystkim nie chciałam niczego czuć.

Mimo to zamknęłam się w sobie, schowałam się niczym zwierzę, które żeby przetrwać zimę zaszywa się w głębokiej norze i kuli, chcąc zachować jak najwięcej ciepła. Zaczęłam zasypiać w szkole na lekcjach, w domu podczas odrabiania zadań. Za to w nocy budziłam się, czując dojmujący ból brzucha, i wybuchałam niepohamowanym szlochem. Przestałam wychodzić w piątkowe wieczory, potem w sobotnie, potem w tygodniu. Biurko, którego używałam tylko do projektów związanych ze sztuką, stało nieużywane. Moja mama – macocha czy jak ją nazwać – poszła ze mną do specjalisty zajmującego się przypadkami chronicznego przemęczenia; nalegała, żebym zrobiła badania pod kątem anemii; godzinami przeszukiwała internet w poszukiwaniu jakiejkolwiek wskazówki dotyczącej mojego stanu, aż w końcu jedna z lekarek zasugerowała depresję. Wyszłam z gabinetu z receptą na lekarstwo, które miało wszystko naprawić. Jednak nigdy go nie kupiłam.

Ze wszystkich miejsc to właśnie w szkole skończyła się moja przyjaźń z Mattem. Trzy miesiące temu. Był kwiecień, klimatyzacja pracowała pełną parą, wyszliśmy więc na dwór podczas przerwy na lunch i usiedliśmy na trawniku pod jabłonią. W ciągu ostatnich tygodni każdą taką przerwę spędzałam w bibliotece, utrzymując, że muszę odrobić zadanie domowe, choć tak

naprawdę szłam do czytelni, aby się zdrzemnąć, jednak tego dnia Matt uparł się zjeść razem ze mną.

Próbował ze mną porozmawiać, ale nie potrafiłam się skupić na tym, co mówił, więc przez większość czasu gryzłam w milczeniu kanapkę. W pewnym momencie z pudełka na lunch wypadła mi pomarańcza i poturlała się między korzenie drzewa, gdzie zatrzymała się jakiś metr ode mnie. Sięgnęłam po nią, a wtedy rękaw podsunął mi się do góry ukazując gojącą się ranę, niemal zabliźnioną, ale wciąż charakterystyczną. Pocięłam się żyletką, żeby w końcu coś poczuć, cokolwiek prócz pustki: nagły przypływ adrenaliny, ból – wszystko to było lepsze niż uczucie wydrążenia. Poczytałam trochę i wiedziałam, jak wysterylizować ostrze, jak głęboko się skaleczyć, żeby nie przeciąć niczego ważnego. Chciałam się przekonać, chciałam, aby moje ciało dało mi wyraźny znak, że wciąż żyję.

Nie zawracałam sobie głowy głupimi tłumaczeniami. Matt nie był idiotą. Nie uwierzyłby, że pośliznęłam się podczas golenia. Nawet gdybym rzeczywiście regularnie goliła włosy na rękach.

– Przestałaś brać leki? – spytał poważnie.

– A ty co, bawisz się w tatusia? – Naciągnęłam rękaw i położyłam pomarańczę na kolanach. – Daruj sobie, Matt.

– Przestałaś?

– Nie. Nie przestałam. Pewnie dlatego, że nigdy nie zaczęłam ich brać.

– Co? – Zmarszczył brwi. – Idziesz do lekarza, który mówi ci, że masz problem, a ty nawet nie próbujesz sobie pomóc?

– Lekarz chce, żebym była jak inni. Ja nie jestem jak inni i to nie jest żaden problem.

– Jasne, jesteś tylko dzieciakiem, które nie chce łykać witamin –powiedział z niedowierzaniem.

– Nie muszę faszerować się lekami tylko po to, żeby zachowywać się tak, jak życzą sobie ludzie!

– Jacy ludzie? Tacy jak ja?

Wzruszyłam ramionami.

– Aha, rozumiem, czyli to, że czujesz się cholernie źle, to w sumie dobrze, bo właśnie tego sobie życzysz? – Poczerwieniał na twarzy. – Wybacz, nie miałem pojęcia.

– Myślisz, że chcę ładować w siebie jakąś chemię, żeby czuć się nijak? –odburknęłam. – Jak mam być sobą, jeśli coś będzie zmieniało pracę mojego mózgu? Jak mam robić cokolwiek, mówić cokolwiek, tworzyć cokolwiek, jeśli zgodzę się na tę chemiczną lobotomię?

– Nie o to chodzi...

– Przestań gadać tak, jakbyś wiedział wszystko na ten temat. To, że masz asa w rękawie i możesz nim szantażować emocjonalnie wszystkich wokoło, wcale nie znaczy, że masz prawo wyrokować, kto jak się czuje.

– Asa w rękawie? – powtórzył z uniesionymi brwiami.

– Tak! – wykrzyknęłam. – Jak ja mogę w ogóle mówić o swoich problemach, skoro rozmawiam z Mattem Hernandezem, któremu umarł ojciec?

To po prostu... wymknęło mi się. Nie zamierzałam tego powiedzieć.

Wiedziałam, że Matt wcale nie wykorzystuje śmierci ojca, aby manipulować ludźmi. Najzwyczajniej w świecie chciałam go zranić. Od pogrzebu minął rok, ale przyjaciel wbrew pozorom nadal był ledwie żywy z żalu i wstydził się tego. O tym również wiedziałam. Obydwoje pamiętaliśmy, jak siedział ze mną w samochodzie, szlochając i ściskając mnie za rękę.

Od tygodni nie odpisywałam na jego esemesy, okłamywałam go, wymyślając różne powody, dlaczego nie chcę nigdzie się wybrać z naszą paczką, stałam się burkliwa. To, że wykorzystałam śmierć ojca przeciwko niemu, była chyba ostatnią kroplą goryczy. Nawet wtedy nie obwiniałam go za to, co było dalej. Niemalże odruchowo winiłam siebie.

– Matt... – zaczęłam.

– Wiesz co? – powiedział zrywając się na nogi. – Rób sobie, co chcesz. Ja mam dość.

– Popełniłem błąd – powiedział Matt, a jego usta były pierwszą rzeczą, która zmaterializowała się w nowym wspomnieniu: dolna warga większa od górnej, obie nie tylko uśmiechają się, ale i otwierają krzywo – nieco szerzej od strony policzka z dołeczkiem. – Powinienem zacząć naszą historię tutaj.

Znaleźliśmy się w pracowni plastycznej. Była lśniąco biała, zawsze pachniała farbami i kredkami. Wzdłuż tylnej ściany stały półki, na których kładliśmy swoje prace, żeby wyschły. Zanim zaczęło mi iść gorzej ze sztuki, ponieważ nie oddałam dwóch projektów zaliczeniowych, przychodziłam tutaj po lekcjach niemal codziennie, żeby popracować. Lubiłam delikatne buczenie świetlówek, spokój, który tu panował. Zawsze trudno było mi osiągnąć spokój.

Koledzy i koleżanki z klasy stali przede mną w półkolu. Ja siedziałam na krześle obok ustawionego po prawej stronie biurka, do mojej głowy przymocowane były elektrody, a wychodzące z nich kable prowadziły do urządzenia spoczywającego na biurku. Ekran urządzenia był zwrócony w stronę widzów. Nawet gdybym nie miała na głowie elektrod, domyśliłabym się, z jakiego okresu pochodzi to wspomnienie, patrząc na kolor moich paznokci. Była to pierwsza klasa gimnazjum. Miałam wtedy obsesję na punkcie ozdabiania paznokci lakierem w krzykliwych szkaradnych kolorach, takich jak żółtozielony, brokatowy fiolet, fluorescencyjny niebieski czy ciemnopomarańczowy. Lubiłam wtedy brać coś, co miało być ładne, i sprawiać, żeby stawało się brzydkie. Albo interesujące. Czasami nie potrafiłam rozróżnić między tymi dwoma pojęciami.

Był to drugi projekt zaliczeniowy na zajęciach ze sztuki w pierwszej klasie – wcześniej debiutowałam pracą ze zdjęciami skał opatrzonych miłosnymi wyznaniami. W tamtym czasie fascynowałam się pracą mózgu, jak gdybym liczyła, że dzięki temu znajdę wyjaśnienie tego, co dzieje się we mnie i ze mną. Pod wpływem olśnienia wpadłam na pomysł, żeby złożyć wniosek

o grant dla młodych artystów i za otrzymane środki kupić przenośny nowoczesny sprzęt wykorzystywany w neurobiologii. Znajomy lekarz nauczył mnie, jak obsłużyć to urządzenie, i wkrótce po kilku godzinach szkolenia, które zrobił mi pewnego dnia po szkole, przyniosłam sprzęt do pracowni plastycznej.

Bez słowa wyjaśnienia podłączyłam się do urządzenia, a następnie pokazałam całej klasie moje fale mózgowe oraz to, jak mogę je zmieniać. Najpierw wykonałam ćwiczenie relaksacyjne, ukazując pracę mojego mózgu w stanie medytacji; potem rozwiązałam zadanie matematyczne. Słuchałam jednego ze swoich ulubionych komików. Opisałam swoje najbardziej wstydliwe wspomnienie: jak w piątej klasie podczas prezentacji kichnęłam i usmarkałam się na oczach wszystkich. Fale mózgowe poruszały się i zmieniały w zależności od tego, co akurat robiłam.

Trzymałam się z daleka od tematów, które wprowadziłyby mnie w stan emocjonalnego chaosu – nie pokazałam, jakie spustoszenie zrobił we mnie ten poranek, gdy mając pięć lat, nie doczekałam się, żeby mama zeszła na śniadanie, a na podjeździe nie zobaczyłam jej samochodu. Największe, najpaskudniejsze tajemnice zostawiłam tylko dla siebie. Chciałam jedynie pokazać mechanizmy mózgu podczas pracy, coś jak obracające się w zegarze koła zębate.

Gdy skończyłam, klasa nagrodziła mnie słabymi, pojedynczymi brawami. Ich brak entuzjazmu wcale mnie nie zaskoczył. Nigdy nie podobało im się to, co robiłam. Jedna z dziewczyn podniosła rękę i spytała nauczyciela:

– Em... panie Gregory? Czy to można w ogóle uznać za sztukę? Przecież ona pokazała nam tylko swój mózg.

– To jest sztuka performatywna, Jessa – odpowiedział nauczyciel, zdejmując okulary. – Zastanów się, co przed chwilą powiedziałaś: „ona pokazała nam swój mózg". Odsłoniła przed nami swoje najwrażliwsze miejsca. To niezwykle rzadkie zarówno w życiu, jak i w sztuce. A sztuka powinna być przede wszystkim odważna i wrażliwa.

Po czym puścił do mnie oko. To między innymi dzięki niemu w pracowni ogarniał mnie spokój. Pan Gregory zawsze zdawał się rozumieć, do czego zmierzam, nawet jeśli ja sama nie potrafiłam tego określić.

– Dlaczego tu jesteśmy? – spytałam Matthew, marszcząc czoło w Wizycie. – Przecież wtedy nawet jeszcze się nie znaliśmy.

Matt siedział z tyłu klasy, nieco z boku, z głową pochyloną nad zeszytem. Uśmiechnął się do mnie w Wizycie. Zmrużył oko, błysnęły białe zęby, w policzku pojawił się dołeczek.

– Tutaj zaczęła się nasza historia – powiedział. – Byłaś taka... Chodzi mi o to, że ich zdanie zupełnie cię nie interesowało. To tak jakbyś cały czas słuchała swojej melodii, chociaż wszyscy naokoło kołysali się w rytm zupełnie innej muzyki. Boże, jak mi się to spodobało. Też tak chciałem.

Słysząc to, dziwnie się poczułam – jak gdyby miejscami moje ciało wpadło w stan nieważkości, zmieniło się w bibułkę i rozpadło na skrzydła motyla.

– Myślisz, że nie obchodziło mnie, co o mnie pomyślą? – Pokręciłam głową. Nie chciałam, żeby widział mnie w fałszywym świetle, nie teraz. – Oczywiście, że mnie obchodziło. Nawet teraz rumienię się, gdy sobie to przypominam.

– Niech ci będzie – powiedział. – Ale ja poszedłem na tamtą imprezę w pierwszej klasie, bo dowiedziałem się, że na niej będziesz, a... chciałem cię poznać. Bardzo spodobał mi się twój projekt. Podobało mi się wszystko, co robiłaś na zajęciach ze sztuki. Czułem się tak, jak gdybyś pokazała mi kawałek siebie, i chciałem ci się odwdzięczyć.

Poczułam, że policzki oblewa mi fala ciepła.

– Nigdy tego nie mówiłeś.

– Za to ty mówiłaś, że wstydzisz się rozmawiać o starych projektach ze sztuki – powiedział, wzruszając ramionami. – Dlatego nie chciałem do tego wracać.

– Właśnie o to się martwię, wiesz? – oznajmiłam cicho. –O lekarstwa. Że jeśli będę je brała, nie będę potrafiła niczego

stworzyć. Właśnie to, że czuję – czasami tak bardzo mocno – popycha mnie do sztuki, do tworzenia.

– Myślisz, że nie można czuć się lepiej i jednocześnie tworzyć wspaniałych rzeczy?

– Nie wiem – przygryzłam wargę. – Przyzwyczaiłam się do tego, jaka jestem. Wybuchowa. Chodzący kłębek nerwów. Boję się, że jeśli znikną stany euforii i doły – zwłaszcza doły – nie zostanie we mnie nic interesującego.

– Claire. – Wstał, przeszedł między krzesłami i przykucnął przede mną, kładąc dłonie na moich kolanach. – Ten kłębek nerwów to wcale nie ty. To tylko coś, co mieszka w twojej głowie i karmi cię kłamstwami. Jeśli się tego pozbędziesz... pomyśl, ile zdołasz zrobić. Pomyśl, kim będziesz mogła się stać.

– A co jeśli... co jeśli zacznę brać lekarstwa i przez nie stanę się nijaka, otępiała? – powiedziałam zdławionym głosem.

– One tak nie działają. Ale jeśli nawet coś będzie nie w porządku, spróbujesz czegoś innego. – Jego dłoń zacisnęła się na moim kolanie. – I naprawdę chcesz mi wmówić, że teraz nie czujesz się nijaka i otępiała?

Nie odezwałam się. Przez większość czasu byłam tak bliska runięcia w mroczną otchłań, która otwierała się we mnie, że starałam się nic nie czuć. Jedyną więc różnicą między moim obecnym stanem a otępieniem wywołanym przez leki było to, że z obecnego odrętwienia mogłam w każdej chwili wyjść, nawet jeśli tego nie robiłam i nie chciałam. Mogłam wrócić do miejsca, w którym mieszkałam prawdziwa ja, powtarzałam sobie. Do miejsca, w którym mieszkała sztuka.

Ale może – może wcale tak nie było. Byłam przekonana, że wywołane lekarstwami zmiany w moim mózgu odbiorą mi sztukę, ale przecież kto wie, może otworzy się przede mną nowa droga artystyczna. Być może pozbycie się potwora z mojej głowy sprawi, że będę w stanie tworzyć nie mniej, lecz więcej. Obydwie możliwości były równie prawdopodobne. Ja jednak bardziej wierzyłam w ostateczną klęskę niż w uzdrowienie.

– Pragnienie, żeby czuć się lepiej, to nic złego. – Matt dotknął mojej dłoni.

Nie wiedziałam, dlaczego te proste słowa przejęły mnie do głębi, przeszyły niczym muzyka w ostatnim czasie. Jak gdyby ktoś wbił mi igłę w mostek i dotarł do samego serca. Nie miałam siły powstrzymywać łez. Zamiast przed nimi uciekać, zamiast blokować to doznanie, pozwoliłam, aby mnie pochłonęło. Dopuściłam do siebie ból.

– Ale jak ja mam się poczuć lepiej? – zasłoniłam oczy. – Jak mam... kiedykolwiek poczuć się lepiej, jeśli umrzesz?

Szlochałam tak samo jak on w samochodzie po śmierci ojca, trzymałam go za ręce, których nie cofnął z moich kolan. Wplótł swoje palce między moje i zacisnął je.

– Normalnie – powiedział. – Po prostu musisz i tyle.

– Kto tak mówi? – warknęłam. – Kto mówi, że muszę czuć cokolwiek?

– Ja. Poprosiłem, żebyś przyszła na Ostatnią Wizytę, ponieważ... chciałem wykorzystać tę okazję i powiedzieć ci, że jesteś warta o wiele więcej niż twój ból. – Przejechał palcami po mojej zaciśniętej pięści. – Możesz zabrać te wspomnienia ze sobą. Przetrwają dłużej niż żałoba, obiecuję, i któregoś dnia będziesz mogła do nich wrócić i poczuć się tak, jak gdybym znów był z tobą.

– Być może zaniżasz moje zdolności w kwestii długotrwałego odczuwania żałoby – uśmiechnęłam się przez łzy. – Mam wieloletnie doświadczenie w użalaniu się nad sobą.

– Co jakiś czas ludzie będą cię opuszczać – ciągnął, choć raz stawiając na powagę, a nie uciekając w żart. – To jednak nie znaczy, że zasługujesz na to. Bo nie zasługujesz.

Nie do końca mu uwierzyłam. Ale prawie.

– Nie odchodź – wyszeptałam.

Potem zaprowadziłam go z powrotem nad ocean, światło księżyca odbijało się od fal, które wzbudziliśmy, pływając po tym, jak skoczyliśmy z klifu. Woda wlewała mi się do butów,

które zaczynały ciążyć, i coraz trudniej było mi utrzymać się na powierzchni.

– Rozmazał ci się makijaż – zachichotał. – Wyglądasz, jak gdyby ktoś podbił ci oczy.

– Tak? A tobie widać sutki sterczące pod koszulką.

– Claire Lowell, czy ty patrzysz na moje sutki?

– Nieustannie.

Roześmialiśmy się, nasz śmiech niósł się po wodzie. Potem dałam nura w jego stronę, nie po to, żeby go podtopić – chociaż wzdrygnął się, jak gdyby tego właśnie się spodziewał – ale żeby zarzucić mu ręce na szyję. Chwycił mnie mocno, ramionami objął plecy, zacisnął palce na mojej talii.

– Będę za tobą tęsknić – powiedziałam, patrząc mu w twarz. Przytulona do niego znów poczułam się jak bibułka, skorupka, cukrowe szkło i jesienny liść. Jak to możliwe, że wcześniej nie zwróciłam uwagi na to uczucie?

Nie czułam nic silniejszego od wielu dni, tygodni, miesięcy.

– To była dobra historia, prawda? – powiedział. – Ta nasza historia.

– Najlepsza.

Wycisnął pocałunek na moim policzku i nie odsuwając się ode mnie, wyszeptał:

– Wiesz, że cię kocham, prawda?

W następnej chwili przestał machać nogami i wciągnął nas pod fale.

Kiedy obudziłam się na sali, nieznajoma pielęgniarka wyjęła mi wenflon, wcisnęła wacik w zgięcie łokcia i przykleiła go plastrem. Doktor Albertson zajrzała do mnie, żeby sprawdzić, czy po przejściu procedury jestem w pełni sił i władz umysłowych. Aby uspokoić się w trakcie rozmowy, wpatrywałam się w jej niebieskie paznokcie wykonujące kolejny taniec.

Wstałam i wyszłam, gdy tylko usłyszałam, że jestem już wolna. Zostawiłam na sali bezużyteczną bluzę niczym Kopciuszek,

który porzucił pantofelek, uciekając z balu. Być może, przeleciało mi przez myśl, baśniowa bohaterka wcale nie zostawiła pantofelka po to, żeby książę mógł ją odnaleźć... być może chciała jak najszybciej uciec przed bólem, który przeszywał ją na myśl, że nigdy nie dostanie tego, czego pragnie, i po prostu nie obchodziło ją, co straci po drodze.

Zbliżał się wschód słońca, gdy wymknęłam się ze szpitala bocznym wyjściem, żeby nie natknąć się na nikogo z rodziny Matta. Nie mogłam znieść myśli o powrocie do domu, pojechałam więc na plażę i zatrzymałam się na parkingu, na którym siedzieliśmy kiedyś i patrzyliśmy na burzę. Tym razem byłam jednak sama, a w piersiach czułam dziwny, zapierający dech ucisk, jak gdybym miała za chwilę zemdleć.

Mój mózg miał przygotowaną receptę na takie chwile. „Nie czuj nic – podpowiadał. – Nie czuj nic, tak będzie najłatwiej".

„Wykop norę – radził – i ukryj się w niej. Zwiń się w kłębek, żeby się ogrzać, i udawaj, że reszta świata zamarła w bezruchu. Udawaj, że jesteś sama, pod ziemią, gdzie ból nie może cię dosięgnąć".

Niewidzące oczy wpatrują się w ciemność. Puls zwalnia. Lepiej być żywym trupem niż czuć, jak pęka serce.

Problem z tą metodą polegał jednak na tym, że kiedy już się zaszyłam w swojej kryjówce, często trudno mi było znaleźć drogę powrotną do świata. Pomagała mi wtedy jedynie żyletka, która wyrywała mnie z odrętwienia i przywracała zmysły.

Słuchając szumu fal, doznałam nagle olśnienia. Nie chciałam nic nie czuć do Matta. Nawet przez chwilę. Zasłużył co najmniej na to, żeby go żałować, nawet jeśli miała to być jedyna rzecz, jaką mogłam mu teraz dać.

Wyciągnęłam drżącą rękę w stronę radia i dźgałam palcem przyciski tak długo, dopóki z głośników nie popłynęła muzyka. Oczywiście nastawiony był odpowiedni album, dźwięk dzwonków i elektrycznej gitary kontrastował z łagodnym pomrukiem oceanu.

Położyłam głowę na kierownicy i słuchałam *Tradycyjnej paniki*, podczas gdy słońce powoli wschodziło.

Ze snu wyrwał mnie brzęk telefonu. Zasnęłam, siedząc w samochodzie, z głową opartą o kierownicę. Słońce stało już wysoko, byłam cała przepocona od narastającego upału. Sięgając po komórkę, spojrzałam na swoje odbicie w lusterku wstecznym i dostrzegłam odciśnięty na czole wzór szwu biegnącego naokoło kierownicy. Potarłam ślad, chcąc go rozmasować.

– Słucham, mamo – rzuciłam do telefonu.

– Jesteś wciąż w szpitalu?

– Nie, zasnęłam na parkingu przy plaży.

– Żartujesz? Przez telefon trudno to wyczuć.

– Nie, mówię serio. O co chodzi?

– Chciałam ci przekazać, że skończyli operować – oznajmiła. – Matt przeżył. Nie wiedzą, czy się obudzi, ale mówią, że można być dobrej myśli.

– Co takiego? – zmrużyłam powieki osłaniając oczy przed rażącym odbiciem słońca na falach oceanu. – Ale lekarze przewidywali...

– Statystyki to nie wszystko, skarbie. Jeśli szanse są dziesięć do jednego, zawsze może się okazać, że akurat wyciągniemy szczęśliwy los. Tym razem się udało.

To bardzo dziwne uczucie, kiedy uśmiechasz się tak mocno, aż policzki bolą, a jednocześnie zanosisz się niemym szlochem.

– Wszystko w porządku? – pyta mama. – Nic nie mówisz.

– Nie – odpowiadam. – Nie w porządku.

Nikt mi nigdy nie powiedział, że środki przeciwdepresyjne są takie małe, byłam więc niemal zszokowana, gdy po raz pierwszy wysypałam je na dłoń. Jak to możliwe, że bałam się tych uroczych seledynowych drobin? Jak to możliwe, że bardziej mnie przerażały malutkie pigułki niż napady płaczu, przez które klękałam i dusiłam się od szlochu, biorąc prysznic.

Na swój sposób Matt poprosił, żebym spróbowała. Tylko spróbowała.

I kochał mnie. Może chodziło mu o to, że kocha mnie po przyjacielsku, po bratersku, a może w inny sposób. Nie mogłam się na razie tego dowiedzieć. Wiedziałam jednak, że miłość była niczym maleńki robaczek świętojański mrugający do mnie z oddali i pokazujący się w chwili, gdy tego potrzebowałam. Nawet w śpiączce, połamany w wypadku i składany w kolejnych operacjach, nie przestawał do mnie mówić.

„Po prostu spróbuj".

Tak też zrobiłam w czasie, gdy podobnie jak pozostali czekałam, aż się obudzi, nie wiedząc, czy w ogóle to nastąpi. Najpierw spróbowałam po prostu wrzucić tabletki do ust. Potem wysiliłam się na tyle, żeby pokazywać się u lekarki co tydzień i nie okłamywać jej, gdy pytała, jak się czuję. Starałam się jeść posiłki, brać prysznic, chodzić na wakacyjny kurs. Wstawać z łóżka po ośmiu godzinach, nie pozwalając sobie zapaść się w otchłań snu na całe lato.

Gdy rozmawiałam z lekarką o Ostatniej Wizycie, potrafiłam mówić jedynie o żalu. Podczas Wizyty otworzyły mi się oczy na sprawy, których wcześniej nie zauważałam, mimo że teraz, z perspektywy czasu, wydawały się oczywiste. O pewnych rzeczach powinnam była mu powiedzieć na wypadek, gdyby nigdy się nie obudził. Teraz pozostawało mi jedynie mieć nadzieję, że Matt to wszystko wiedział.

A jednak się obudził.

Obudził się w ostatni tydzień lata, gdy zrobiło się tak parno, że musiałam dwa razy dziennie zmieniać koszulkę, aby chodzić w suchej. Przez słońce miałam piegi na nosie i nieustannie zmrużone oczy. Za tydzień zaczynał się rok szkolny, ostatnia klasa liceum, ale dla mnie nie miało to żadnego znaczenia, jeśli miałoby go przy tym nie być.

Gdy mama Matta powiedziała, że mogę go odwiedzić, wrzuciłam starannie spakowaną skrzynkę do samochodu i pojechałam

do szpitala. Jak zwykle zaparkowałam w sektorze oznaczonym literą „K", żeby potem nie zapomnieć, gdzie stoi auto. Na literę „K" zaczynało się moje ulubione przekleństwo.

Wniosłam skrzynkę do budynku i zgodnie z przepisami zgłosiłam swoje przyjście w recepcji. Znudzona recepcjonistka wydrukowała i wręczyła mi naklejkę identyfikacyjną, nie podnosząc wzroku znad biurka. Przyczepiłam nalepkę do koszulki, którą ozdobiłam domowym sposobem: skrapiając wybielaczem, aby miejscami przybrała czerwono-pomarańczowy kolor. To była moja druga próba. Za pierwszym razem wypłowiałe od wybielacza plamy przypadkowo znalazły się na wysokości piersi i nie wyglądało to najlepiej.

Wolnym krokiem ruszyłam w stronę sali, na której leżał Matt, i próbowałam zachować spokój, oddychając głęboko. Mama przyjaciela podawała mi numer jego sali co najmniej cztery razy, dorzucając do tego garść różnorodnych wskazówek, przez co wszystko mi się poplątało. Spytałam więc o Matta w dyżurce pielęgniarek i pokierowano mnie do ostatnich drzwi po lewej stronie.

Na korytarzu przed innymi salami stała doktor Albertson i przeglądała karty pacjentów. Obrzuciła mnie spojrzeniem, ale nie poznała. Prawdopodobnie przez program Ostatnich Wizyt przewijało się tyle osób, że wszystkie one zlewały się w jedno w jej pamięci. Gdy się obróciła, zerknęłam na jej paznokcie, tym razem już nie lazurowe, ale jaskrawozielone. Niemal taki sam kolor odpryskiwał z paznokcia mojego kciuka.

Weszłam do pokoju Matta. Leżał na łóżku na wznak, z zamkniętymi oczami. Nie był jednak w śpiączce, tylko zwyczajnie spał, uprzedzono mnie. Wybudził się w zeszłym tygodniu i na początku wydawał się tak bardzo zdezorientowany, że nie wiadomo było, w jakim stopniu zdoła dojść do siebie. Potem jednak powoli zaczął odzyskiwać pełną świadomość.

Ponoć. Nie chciałam wierzyć, dopóki nie przekonam się na własne oczy, a może nawet wtedy nie będę miała całkowitej pewności.

Postawiłam skrzynkę i otworzyłam wieczko. Przygotowany przeze mnie projekt składał się z wielu części. Przeciągnęłam stolik, na którym kładziono tackę z jedzeniem, i ustawiłam go obok stolika nocnego. Znalazłam wtyczkę od głośników i wygrzebałam stary odtwarzacz płyt CD kupiony przez internet. Był jaskrawofioletowy i oblepiony naklejkami.

Gdzieś w połowie tej krzątaniny oczy Matta otworzyły się i spojrzały w moją stronę. Miał trudności z obracaniem głowy – kręgosłup wciąż jeszcze zrastał się po wypadku – ale powoli i ostrożnie był w stanie to zrobić. Palce mu drgnęły. Zdusiłam szloch i powstrzymałam uśmiech, decydując się zachować neutralny wyraz twarzy.

– Claire – powiedział, a mnie przeszył dreszcz na dźwięk mojego imienia. Poznał mnie. – Chyba mi się śniłaś. Może nawet parę razy, w sprecyzowanej kolejności, dobranej przez twojego szczerze oddanego...

– Ciii. Jestem w trakcie aktu twórczego.

– Och – mruknął. –Wybacz. Ja jestem w trakcie powrotu do życia.

– Trochę za szybko – zauważyłam.

– Nic nie poradzę. Wszystko przez instynkt samozachowawczy.

Usiadłam obok niego i zaczęłam rozpinać koszulę.

Uniósł brwi.

– Co robisz?

– Ćwiczę wielozadaniowość. Muszę przymocować te elektrody do klatki piersiowej. Pamiętasz je? – Podniosłam kable zakończone niewielkimi krążkami. Tych samych przewodów użyłam na zajęciach ze sztuki, aby pokazać swoje fale mózgowe. – A oprócz tego chcę zwiększyć swoje szanse u ciebie.

– Szanse u mnie... Znów mnie czymś nafaszerowali?

– Nie, gdybyś miał halucynacje, przywidziałabym ci się bez koszulki, prawda? – Uśmiechnęłam się szeroko, po czym przyczepiłam jedną elektrodę po prawej stronie piersi, drugą zaś

trochę pod spodem. Miały za zadanie rejestrować bicie mojego serca.

– Bez komentarza – powiedział Matt. – Nosisz zaskakująco dziewczęcy stanik.

Był granatowy, nakrapiany malutkimi białymi i różowymi kwiatkami. Odłożyłam go specjalnie na dzisiaj, chociaż był to mój ulubiony i zawsze wkładałam go zaraz po praniu.

– To, że nie lubię sukienek, nie znaczy, że nie znoszę kwiatków – odparłam. – Dobra, teraz cicho.

Podkręciłam głośniki podłączone bezpośrednio do elektrod. Rozległo się bicie serca, spokojne i miarowe. Pogłębiłam oddech, wciągając powietrze nosem i wydychając je ustami. Następnie włączyłam odtwarzacz płyt CD i nastawiłam drugi utwór: *Bezwładność* Chase Wolcott.

Bezwładność
Coś prowadzi mnie prosto do ciebie
Siła, której nie mogę się oprzeć; nie chcę się oprzeć
Unosi mnie prosto do ciebie

Bębny wybijały równy rytm, gitary pulsowały, nadając melodii hipnotyczne brzmienie. Moje serce zaczęło się dostosowywać do tego rytmu, im dłużej słuchałam, tym szybciej biło.

– Twoje serce – powiedział Matt. – Podoba ci się teraz ta piosenka?

– Mówiłam ci, że lekarstwa namieszają mi w głowie – odparłam cicho. – Cały czas przyzwyczajam się do nich, więc nie podniecaj się za bardzo. Może za jakiś czas znów znienawidzę ten ich album.

– Lekarstwa – powtórzył. – Bierzesz je?

– Wciąż pracujemy nad dopasowaniem dawki, ale tak, biorę je, częściowo dzięki takiemu jednemu kolesiowi, który mnie do tego zachęcał – przyznałam. – Jak na razie efekty uboczne obejmują bóle głowy, nudności i wrażenie, że być może dam radę

jakoś poukładać sobie w życiu. Ten ostatni skutek jest najbardziej uciążliwy.

Na policzku Matta pojawił się dołek.

– Jeśli spodobała ci się zmiana rytmu serca, poczekaj, pokażę ci coś jeszcze lepszego. – Wyłączyłam muzykę.

– Dobra – powiedział, mrużąc oczy.

Wstałam i położyłam dłoń na łóżku obok jego ramienia. Słyszane przez głośniki serce uderzało coraz szybciej. Pochyliłam się i przycisnęłam swoje wargi do jego warg.

Poruszył ustami, odpowiadając na mój pocałunek. Uniósł dłoń, dotknął mojego policzka, odsunął mi włosy z twarzy. Powiódł palcami wzdłuż szyi.

Moje serce łomotało niczym pociąg ekspresowy. Pulsowanie narządu wewnętrznego informujące o tym, że żyję, mam się dobrze i staram się nadać swojemu życiu bardziej znośną formę, stanowiło podkład muzyczny naszego pierwszego pocałunku i było to lepsze niż jakakolwiek melodia zagrana przez najbardziej genialną kapelę.

– Sztuka – oświadczyłam, gdy odsunęliśmy się od siebie – jest odważna i wrażliwa.

Ostrożnie usiadłam na skraju łóżka obok biodra Matta. Jego orzechowe oczy śledziły spod zmarszczonych brwi każdy mój ruch. Na twarzy nie gościł nawet cień uśmiechu.

– Ostatnia Wizyta powinna dawać ludziom szanse na to, żeby powiedzieli wszystko drugiej osobie, zanim ją stracą – zaczęłam. – Ale kiedy stąd odjeżdżałam, myśląc, że niedługo odjedziesz na zawsze, zrozumiałam, że jest jedna rzecz, której ci nie powiedziałam.

Zaczęłam skubać palcami kołdrę, nagle ogarnęła mnie nieśmiałość.

Moje serce znów przyspieszyło, biło coraz szybciej.

– Więc powiedz to teraz – zachęcił mnie cicho.

– Dobra. – Odchrząknęłam. – Dobra, nie ma sprawy. Powiem to.

Uśmiechnął się szeroko, trochę krzywo.

– Claire... kochasz mnie?

– Tak – odpowiedziałam. – Kocham cię.

Zamknął oczy, tylko na sekundę, na jego usta wypłynął łagodny uśmiech.

– Ten stanik to bardzo sympatyczny gest – powiedział – ale nie musisz nic robić, żeby zwiększyć swoje szanse u mnie. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Wszystko zawsze prowadziło mnie do ciebie.

Odpowiedziałam uśmiechem. Wyciągnęłam rękę, żeby nacisnąć guzik „play" na odtwarzaczu. Położyłam się na łóżku obok Matta, ostrożnie, uważając, aby nie sprawić mu bólu.

Przejechał palcami po moich włosach, przyciągnął moje usta do swoich.

W milczeniu, bez zbędnych słów, słuchaliśmy *Bezwładności* ustawionej na automatyczne powtarzanie.

12 AUTORÓW

powieści dla młodzieży sprawi, że poczujesz zapach lata i ciepło miłości.

Geek filmowy podkochuje się w koleżance z pracy.
Do zrobienia pierwszego kroku popycha go... zombie.

Mark i Margaret utknęli w czasie.
W kółko przeżywają ten sam dzień, 4 sierpnia.

Chłopak w śpiączce i jego najlepsza przyjaciółka mają szansę powrócić do przeszłości i na nowo przeżyć najlepsze wspólne chwile. Co się stanie, jeśli jedno z nich postanowi zmienić bieg wydarzeń?

Przejażdżki na motorze, skoki z klifu, seanse filmowe, szalone spiski animatorów w ośrodkach wczasowych, ogniska na campingu i zapach morza – w tych opowiadaniach jest wszystko, czego oczekujesz od wakacji życia.

**Odważ się zrobić pierwszy krok do spełnienia marzeń.
Kto wie, może miłość czeka na Ciebie tuż za rogiem?
Przecież wszyscy pragniemy tego samego:
by ktoś nas pokochał.**

E-book dostępny na
woblink.com

ISBN 978-83-7515-242-5
9 788375 152425

Cena detal. 36,90 zł

lubimyczytać.pl
moondrive

10 LAT WYDAWNICTWA OTWARTEGO

MOONDRIVE JEST MARKĄ WYDAWNICTWA OTWARTEGO